

Ryszard PARADOWSKI

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań

## Europa między demokracją i zaściankiem

*Czy integracja z Unią Europejską przyczyni się do wypełnienia misji, którą Bóg powierzył Polsce, gdy wyrwał ją z mroków pogaństwa i nazaczył jej czoło wodą chrztu świętego?*

Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej  
im. Ks. Piotra Skargi  
„Rzeczpospolita”, 31 I 2003 r.

W czasach, kiedy naszym „naturalnym środowiskiem politycznym” była sterowana „socjalistyczna demokracja”, zwykliśmy upatrywać w Europie Zachodniej wzorca doskonałości demokratycznej. Upowszechnienie się doktryny praw człowieka i instytucji, stojących na ich straży, jeszcze to przekonanie utrwaliło. Nie bez wpływu na tę wysoką ocenę europejskiej praktyki politycznej było zwycięstwo nad faszyzmem, powszechnie odebrane jako zwycięstwo demokracji. Poczucie europejskiej tożsamości demokratycznej znalazło dla siebie dodatkowe potwierdzenie po kilkudziesięciu latach w upadku komunizmu. Tym bardziej więc obserwacja postępującego niemal od zakończenia drugiej wojny światowej i zdynamizowanego po roku 1989 procesu integracji krajów Europy zdawała się ukazywać jej jednoznacznie demokratyczny charakter.

Jednak bardziej uważny wgląd w przebieg procesów zjednoczeniowych nasuwa szereg wątpliwości co do tego, czy na pewno mamy do czynienia z budowaniem struktur europejskich na zasadach liberalnodemokratycznych.

Wątpliwości te nie są związane z samym tylko przebiegiem procesu zjednoczeniowego i jego wyrażenia w formie europejskich aktów prawnych. Nie mniejsze wątpliwości budzi współczesny kapitalizm. Jego rozwój i stopniowe, a ostatnio nawet gwałtowne uwalnianie się od jakichkolwiek form państwowo-prawnej regulacji pozwalają zauważyć, że właściwy temu sposobowi produkcji i organizacji gospodarki technokratyczny autorytaryzm zaczyna coraz bardziej przeważać nad demokratycznymi

i liberalnymi porządkami właściwymi nowoczesnemu państwu z jego troską o równość wobec prawa i wyrównywanie szans życiowych obywateli, a zwłaszcza o to, by równość wobec prawa oznaczała również możliwie równy wpływ na jego stanowienie. Zmiany zachodzące w obrębie kapitalistycznego sposobu produkcji oznaczają masową reorientację indywidualnych postaw życiowych ze spraw publicznych na prywatne, z dobra wspólnego na dobra konsumpcyjne. Wprawdzie kapitalizm nie likwiduje zupełnie sfery publicznej i kategorii dobra wspólnego, ale je radykalnie przedefiniowuje: sferę publiczną zastępuje rynkiem, a kategorię dobra publicznego masowym podporządkowaniem się jego regułom. To semantyczne przesunięcie otwiera pole dla rozwiązań autorytarnych, odbiera bowiem na powrót obywatelom podmiotowość polityczną. Nie są tu już oni kontrolerami sfery publicznej, nie są twórcami systemu regulacji prawnej społecznego i gospodarczego porządku, a jedynie podmiotami zaspokajania własnych konsumpcyjnych potrzeb. Również społeczno-polityczna i prawna doktryna jednoczącej się Europy sprowadza obywatela do roli konsumenta. Ale w przeciwieństwie do ponadnarodowego kapitału, który najchętniej pozostawiłby konsumentów samym sobie, byle tylko nie chcieli się bronić przed rynkową przemocą, doktryna ta, i idąca za nią integracyjna polityka, gotowa jest pomóc konsumentowi w zaspokajaniu jego potrzeb, przyznając, że uprawnione są nie tylko te potrzeby, które dają się zaspokoić wysiłkiem indywidualnym, ale również te, których zaspokojenie wymaga wysiłku zbiorowego. Żąda jednak zapłacenia określonej ceny – żąda przyznania przez obywateli, że ich kompetencja nie wykracza poza sferę zaspokajania potrzeb, i to w dodatku – nie wszystkich, lecz tych, których zaspokajanie jest ogólnie zalecane.

To zakwestionowanie statusu obywatela ma swój odpowiednik w ideologicznych zabiegach Kościoła katolickiego, który stara się – z dużym powodzeniem – zastąpić przy konstruowaniu europejskiego porządku nowoczesne, liberalnodemokratyczne zasady ustrojowe historycznie zaściankowymi, przednowożytnymi zasadami ustrojowymi autorytaryzmu. Najważniejszą jest wśród nich zasada subsydiarności<sup>1</sup>.

Początkowo mogło się wydawać, że zasada subsydiarności będzie stosowana w wąskim, ściśle prawniczym znaczeniu, w znaczeniu technicz-

---

<sup>1</sup> Zasada subsydiarności wywodzi się z prawa rzymskiego, jednak w doktrynie społecznej Kościoła uzyskuje zupełnie nowe znaczenie, określone przez ten nowy kontekst doktrynalny.

no-organizacyjnym, regulującym podział kompetencji między różnymi szczeblami politycznej reprezentacji obywateli i jej administracyjnych odpowiedników i samymi obywatelami, którym, trzeba przyznać, zasada ta przyznaje, przynajmniej formalnie, dość szeroki zakres kompetencji w zaspokajaniu ich partykularnych potrzeb, stwarzając tym samym wrażenie, że jest zasadą, bliską jednej z liberalnych wersji państwa minimalnego, chociaż skądinąd o sprawy obywateli zatroskanego. Ale już sam fakt, że w wielu przepisach zasada ta jest jedynie przywoływana, ale nie precyzowana, a także, że przywoływana jest coraz częściej, i to w kontekstach, niesprowadzających się do wspomnianego podziału kompetencji, każe się w niej dopatrywać raczej zasady ustrojowej. Co zatem oznacza zasada subsydiarności jako zasada ustrojowa?

Ażebym ukazać ustrojowe znaczenie zasady subsydiarności, trzeba wskazać szerszy kontekst doktrynalny, w jakim ona współcześnie występuje. Ten doktrynalny kontekst to katolicka doktryna społeczna.

Autorzy, zajmujący się zasadą subsydiarności i jej miejscem w systemie prawa europejskiego, zwracają zgodnie uwagę na „trudności w jednoznaczonym zrekonstruowaniu jej treści”<sup>2</sup>. Już sam ten fakt, w połączeniu z uporczywym stosowaniem tej zasady w europejskich traktatach i sygnalizowanymi zamiarami wprowadzenia jej do konstytucji europejskiej potwierdzają jej status jako zasady ustrojowej, wymagającej tym samym każdorazowej interpretacji w świetle doktryny – zanim sama zasada będzie mogła wystąpić jako reguła interpretacyjna wobec przepisów szczególnych.

Dla autorów piszących o zasadzie subsydiarności wydaje się rzeczą całkowicie naturalną, że wspomniany kontekst ustrojowy i doktrynalny znajduje ona nie w systemie wartości liberalnej demokracji, lecz w doktrynie religijnej, skądinąd tradycyjnie wrogiej rozwiązaniom demokratycznym, a nawet dziś ciągle z trudem radzącej sobie z demokratycznymi wyzwaniami współczesnego świata<sup>3</sup>. Przyjrzyjmy się więc, jaki ustrój demokratycznej, zdawałoby się, Europie, narzucają akademickie i politycz-

---

<sup>2</sup> Zob. np. E. Popławska, *Zasada subsydiarności w traktatach z Maastricht i Amsterdamu*, Warszawa 2000, s. 15. Autorka powołuje się na „znawcę zasady subsydiarności”, niemieckiego teoretyka H. Kalkbrennera, który wyodrębnił dwadzieścia definicji tej zasady (H. Kalkbrenner, *Die Rechtliche des Subsidiaritaetprinzip*, s. 518).

<sup>3</sup> O trudnościach tych wspominał niedwuznacznie ks. Józef Tischner w przedmowie do książki Ernsta-Wolfganga Bockenforde *Wolność – państwo – Kościół*, Kraków 1994, s. 6 i n.

ne autorytety<sup>4</sup>, na które powołują się wspomniani autorzy w zamiarze ujednoznaczenia ujawnionej niejednoznaczności.

Pierwszym jest Czesław Strzeszewski, autor fundamentalnej pracy pt. *Katolicka nauka społeczna*<sup>5</sup>. Autor ten pisze, że zasada subsydiarności opiera się na założeniu, że jedynym bytem samodzielnym jest człowiek. Twierdzenie to wsparte jest jednocześnie na autorytecie św. Tomasza, wedle którego człowiek jest „jedynym mającym wartość bytem w świecie doczesnym”. Jednak wbrew deklaracjom, człowiek ani nie jest w tej doktrynie jedynym bytem mającym wartość<sup>6</sup>, ani bytem specjalnie samodzielnym; wprawdzie Bóg, który zgodnie z doktryną jest takim bytem bez żadnych zastrzeżeń, nie zamieszkuje doczesności, lecz transcendencję, ale wiadomo przecież, że ranga doczesności jest w religii znacznie niższa niż ranga transcendencji. Innymi słowy, twierdzenie, że jedynym bytem samodzielnym i wartościowym jest człowiek, stanowi tylko ideologiczną półprawdę. A tymczasem status jednostki w ramach porządku społeczno-politycznego, i to nie status deklarowany, ale status rzeczywisty, decyduje o tym czy mamy do czynienia z systemem demokratycznym, czy autorytarnym.

Oczywiście nie tylko kontekst doktrynalny, ale samo brzmienie zasady subsydiarności nasuwa poważne wątpliwości co do tego, czy może ona pełnić wyznaczaną jej przez prawodawców rolę w porządku, który miałby uchodzić za demokratyczny. Powiada się więc, po pierwsze, że zgodnie z zasadą subsydiarności prawa i wolności jednostek są źródłem wszystkich praw i obowiązków społeczności, ale nie oznacza to, że w jakimkolwiek sensie jednostki są źródłem swoich praw i obowiązków, ani też, że jednostki są źródłem praw i obowiązków wspomnianych społeczności. Innymi słowy, istnieje jakiś trzeci czynnik, który sprawuje władzę zarówno nad jednostkami, jak i nad społecznościami. Z całą pewnością więc jednostki nie są tu ani samodzielnymi, ani najbardziej wartościowymi bytami, skoro nie one są źródłem Prawa. Ale jeśli wspomniany „trzeci czynnik” – czyli Bóg, bo o niego tu chodzi – w ogóle nie istnieje, a co do jego istnienia, jak wiadomo, nie może być stuprocentowej pewności, wówczas jedno z dwojga: albo trzeba przyznać każdemu człowiekowi status bytu wyższego bez żadnych zastrzeżeń (a więc nie tylko w „doczesności”), albo przy-

---

<sup>4</sup> Tu: władze kościelne, skądinąd „nieomyłne”.

<sup>5</sup> Cz. Strzeszewski, *Katolicka nauka społeczna*, Warszawa 1985.

<sup>6</sup> To akurat nie musi być złe, bo niby dlaczego wszystko, co nie jest „człowiekiem”, miałyby być pozbawione wartości?

znać go „społeczności”. Katolicka doktryna społeczna wybiera w istocie to drugie rozwiązanie. Wynika to między innymi z uznania, że człowiek „nie z całym swoim bytem”, „nie ze wszystkimi swoimi dobrami” podlega wspólnocie politycznej (choć z jakiegoś powodu nie jest ona jego emanacją i reprezentacją, lecz *władzą*), bo w części podlega on innej wspólnocie. Tak czy inaczej – *podlega*. Gdy tymczasem wedle reguł demokratycznych jednostka jest swobodnym uczestnikiem każdej wspólnoty, zaś „wspólnota polityczna”, czyli państwo, nie jest dlań „władzą”, lecz *reprezentacją*.

Ale przejdźmy w końcu do brzmienia samej zasady. „Podobnie jak człowiek szukający pomocy społeczności tylko wtedy i tylko w tym zakresie, w jakim nie może on spełnić swych zadań życiowych, tak samo każda społeczność mniejsza czy niższa odwołuje się do pomocy społeczności większych czy wyższych tylko wówczas, gdy nie może spełnić całokształtu zadań wyznaczonych jej przez potrzeby wszystkich członków”<sup>7</sup>. Zauważmy, że ludzie, członkowie społeczności, po pierwsze, sprowadzeni są tu do potrzeb, po drugie, między nimi i „społecznościami” nie działa zasada reprezentacji, społeczności nie są przez obciążone potrzebami jednostki w żaden sposób konstytuowane, przeciwnie, jednostka wchodzi, i to nie dobrowolnie, w ich skład, one zaś są w stosunku do „człowieka” czymś wyższym. I, po trzecie, decentralizacyjna intencja nie jest tu w żaden sposób uzależniona od samych jednostek, co w ostatecznym rachunku powoduje, że jednostka jest w szczególny sposób uzależniona od „społeczności” – kompetencje władzy politycznej, polegające między innymi na obronie praw jednostki, są tu scedowane na ową „społeczność” pod pretekstem, że jest ona najbliższej obywatela. Taką „społecznością” w systemie komunistycznym była podstawowa organizacja partyjna, która w stosunku do jednostki wykonywała kompetencje władcze, takimi społecznościami są w dzisiejszej Europie, gdzie kończą się jeszcze niezależne stowarzyszenia obywateli, przede wszystkim związki wyznaniowe i organizacje przykościelne, a także „rodzina”, organizacja równie demokratyczna co kapitalistyczne przedsiębiorstwo. Ta niezależność decentralizacyjnej intencji od samych jednostek widoczna jest również w innym sformułowaniu zasady subsydiarności: tyle wolności, ile można, tyle uspołecznienia, ile trzeba; tyle społeczeństwa, ile można, tyle państwa, ile koniecznie trzeba; tyle państwa, ile można, tyle organiza-

---

<sup>7</sup> Zob. E. Popławska, op. cit., s. 13–14.

cji ponadnarodowej, ile koniecznie trzeba. Ale jeśli nie jest wyraźnie powiedziane, kto rozstrzyga, ile można i ile koniecznie trzeba, wówczas wiadomo, że decyduje o tym siła. Często siła fizyczna, ale jakże często po prostu przemoc psychologiczna.

Zasada subsydiarności, oznaczająca z jednej strony „zastępczość”, z drugiej „pomocniczość”, odwołuje się do funkcji służebnej, jaką społeczności i państwo pełnić mają w stosunku do człowieka. Niczego jednak z samej zasady ani z jej doktrynalnego kontekstu nie dowiadujemy się na temat tego, kto ustanawia i gwarantuje tę służebność – „człowiek” czy same te „instancje”, przepojone poczuciem swojej misji wobec „małuczki”.

Z zasady subsydiarności wyłania się więc społeczeństwo, którego nie sposób nazwać demokratycznym. Skoro „społeczność” nie sprowadza się do woli składających się na nią ludzi, to muszą w jej skład wchodzić też tacy, którzy swoją szczególną kompetencją powodują, że jest ona w stosunku do jednostek bytem wyższym i autonomicznym. Jednostki, zmuszone do zaspokajania swych potrzeb, uzależnione są od społeczności, te zaś swoją zależność od jednostek i ich potrzeb, i tego, w jakiej te ostatnie mają być zaspokajane, określają same. Z zasady subsydiarności wyłania się więc społeczeństwo hierarchiczne i zatimizowane. Właśnie zatimizowane (choć to ulubiony zarzut doktryn autorytarnych pod adresem liberalizmu): nic nam nie wiadomo ani z doktryny społecznej katolicyzmu, ani z zasady subsydiarności, by „poziome” relacje między jednostkami miały jakiegokolwiek konstytutywne znaczenie dla porządku społecznego. Przeciwnie, są one – owe jednostki – rozdzielone obowiązkową przynależnością do „społeczności” i zależnością od władzy. „Jednostka – społeczność – władza” – oto struktura społeczeństwa, zbudowanego na zasadzie subsydiarności. O żadnej solidarności jednostek wobec władzy czy to społeczności (zwłaszcza społeczności, czyli wobec Kościoła), czy wobec władzy państwa, nie może być tu mowy. Jednostka musi zaspokoić swoje potrzeby, musi się więc (w tym zakresie, w jakim sama nie może sobie poradzić, a wiemy, że na określenie tego zakresu nie ma żadnego wpływu) zdać na społeczeństwo i państwo, bo tylko one wiedzą, co jest dla niej dobre.

Wprawdzie zasada subsydiarności (i szerzej, katolicka nauka społeczna) nie odmawiają człowiekowi zdolności do rozpoznania tego, co dla niego dobre i co „warunkuje jego dobro”, ale zakres tej zdolności sprowadza się właśnie i tylko do rozpoznania, do wiedzy. Sam człowiek natomiast w żaden sposób nie uczestniczy w definiowaniu owego dobra, zwłaszcza w tym zakresie, w jakim wykracza to poza jego wąsko pojęte

potrzeby. Dotyczy to przede wszystkim kategorii tak zwanego dobra wspólnego. W doktrynie katolickiej podkreśla się z uporem godnym lepszej sprawy, że dobro wspólne „przerasta” sumę dóbr partykularnych, tak jakby ktokolwiek chciał rozsądnie bronić tezy, że dobra partykularne można w jakikolwiek sposób zsumować. Mówienie o „niesumowalności” dóbr służy raczej niemówieniu o tym, co w wypadku kategorii dobra wspólnego czy dobra publicznego ma znaczenie zasadnicze, mianowicie tego, kto jest kompetentny do określania tego, czym jest owo dobro wspólne w każdych konkretnych historycznych warunkach. Katolicka doktryna jest jak najdalej od twierdzenia, że dobro wspólne jest dane raz na zawsze. Z drugiej strony twierdzenie, że dobrem wspólnym jest stwarzanie warunków dla dążenia do doskonałości, gdy tymczasem wzorem takiej doskonałości jest katolicki Bóg, zmierza w istocie w takim właśnie kierunku: że wzór taki jest z góry dany, a jeśli co do konkretnej historycznej postaci dobra wspólnego istnieją jakieś wątpliwości, to może je rozwiązać tylko ktoś, kto jest powołany do tego, by boskie intencje przekładać na język zrozumiały dla zwykłych ludzi. W efekcie więc okazuje się, że rzeczywiście decydują tu kompetencje do definiowania owego dobra, z tym, że nie przysługują one profanom, tylko wtajemniczonym. Innymi słowy, nie istnieje coś takiego, jak powszechna, demokratyczna kompetencja w definiowaniu dobra wspólnego, która mogłaby się realizować na przykład w debacie publicznej i debacie parlamentarnej, a następnie w demokratycznej procedurze stanowienia prawa; „człowiek”, ograniczony do zaspokajania swych potrzeb, nie jest (przez katolicką doktrynę i zasadę subsydiarności) powołany do decydowania w tak poważnej materii. W sprawach, wykraczających poza wąski horyzont, zakreślony przez partykularne potrzeby, wymaga on opieki i kierownictwa. W świetle tak rozumianego „dobra wspólnego” (dobra definiowanego przez nielicznych na użytek większości) deklaracja „autonomii”, mającej przysługiwać szczeblom niższym (!) w stosunku do wyższych (!) okazuje się deklaracją bez pokrycia<sup>8</sup>. Jest rzeczą charakterystyczną, że doktryna katolicka, która z upodobaniem żongluje kategorią wolności (rozumianą zresztą jednoznacznie jako możliwość nieposłuszeństwa<sup>9</sup>), większe upodobanie znaj-

---

<sup>8</sup> Taką deklarację bez pokrycia składa między innymi Jan Paweł II w encyklice *Centesimus annus*: „...różne grupy pośrednie, poczynając od rodziny, a kończąc na wspólnotach gospodarczych, politycznych i kulturalnych, [...] jako przejaw tejże ludzkiej natury, posiadają – zawsze w ramach dobra wspólnego – swą własną autonomię”.

<sup>9</sup> A nie: *innego systemu wartości*.

duje w pojęciu autonomii – nie jest to bowiem coś, co by przysługiwało człowiekowi niejako „z natury” (z tym, że człowiek jest wolny do nieposłuszeństwa, nawet Bóg musi się godzić); autonomia to zakres swobody ruchów, arbitralnie określony przez Władzę, która jedynie jest władna każdorazowo wyznaczać tej autonomii granicę poprzez decydowanie o tym, czym jest dobro wspólne. Przytoczone w przypisie słowa najwyższego katolickiego autorytetu oznaczają więc tylko tyle, i tylko tyle oznacza zasada subsydiarności, że władza w każdym przypadku decyduje, w jakim zakresie człowiek będzie musiał sam, bez pomocy innych, troszczyć się o swoje sprawy. To, że o sprawach „wyższych”, w tym o sprawach samej władzy, czy będzie to władza polityczna, czy kościelna (a więc władza „społeczności”), decyduje sama władza, jest również, z góry i jednoznacznie, przez samą zasadę subsydiarności przesądzone. Z tym, że z pomocą zasady subsydiarności decyduje o tym w pierwszym rzędzie Kościół katolicki.

Dziś, kiedy kapitalizm i liberalna demokracja nie są już synonimami, kiedy kapitalizm najwyraźniej poszukuje innej formy politycznej, która bardziej odpowiadałaby jego globalnym planom i globalnej strukturze, trwają próby poszukiwania adekwatnej formy politycznej, która pozwoliłaby zminimalizować destruktywny wpływ powszechnych ludzkich aspiracji na nieskrepowane pomnażanie i przepływ kapitału. Jedną z ideologicznych ofert składa kapitalizmowi, jak widać na podstawie roli subsydiarności w europejskich traktatach, dosyć skutecznie, doktryna katolicka. Nie jest to zresztą jedyna wersja tej doktryny. Kościół katolicki ma w zanadrzu jej mniej opiekuńczą, bardziej surową, nie tak przepęloną werbalną admiracją dla wartości demokratycznych wersję w postaci ideologii *Opus Dei*. Póki jednak system nie został jeszcze domknięty, póki nie wszystkie demokratyczne instytucje zostały zastąpione przez ich autorytarne odpowiedniki, ideologia subsydiarności – oznaczająca, zresztą w zgodzie z nazwą, **zastąpienie demokracji** – jest politycznie bardziej funkcjonalna: udało się jej przez cały powojenny okres nie wzbudzić żadnych podejrzeń u przepęlnionych nieuzasadnionym samozadowoleniem demokratów. A przecież fakt, iż zasada subsydiarności, i w ogóle katolicka doktryna społeczna, była przez cały okres międzywojenny jednym z filarów okółofaszystowskich, korporacyjnych reżymów, winien był już dawno obudzić czujność architektów zjednoczonej Europy. Chyba że sami oni świadomie budowali ją na tamtych wzorach, sprawdzonych w Portugalii Salazara czy w Hiszpanii generała Franko. Jeśli będzie to również wzorzec dla nowej europejskiej deklaracji praw człowieka, wzo-



rzec dla europejskiej konstytucji, a wiele zdaje się dziś na to wskazywać<sup>10</sup>, wówczas spełni się marzenie o nowym europejskim średniowieczu.

Zatem Europa chrześcijańska, to ideokracja zamiast demokracji. Ideokracją był faszyzm, a ideą rządzącą była tam idea wyższości rasowej; ideokracją był komunizm ze swą ideą wyższości klasowej; ideokracją stać się może stopniowo Europa subsydiarności. Uzależnienie Prawa od subsydiarności powoduje, że tak jak w faszyzmie nad prawem była ideologia rasy, w komunizmie nad prawem była ideologia klasy, tak w Europie ponad prawem jest historycznie zaściankowa, średniowieczna ideologia kasty kapłańskiej, która decyduje o wartościach, zasadach i prawach podstawowych. Ta ideokracja ma po swojej stronie wielki kapitał, dlatego demokratyczna mobilizacja musi być mobilizacją nie tylko ideologiczną.

---

### Summary

In the period when 'our natural political environment' was provided by controlled 'socialist democracy' we tended to look to Europe for a model of democratic perfection. As the doctrine of human rights and the institutions guarding it became increasingly common, this conviction was yet augmented. Such a high opinion of European political practice was undoubtedly affected by the defeat of Nazism, which was commonly interpreted as a victory for democracy. The feeling of European democratic identity was further confirmed several decades later, when Communism collapsed. Thus the process of progressive European integration, which commenced soon after the end of World War II, and intensified after 1989, seemed to testify to Europe's unanimously democratic nature. Yet a more considerate insight into the unification processes raises numerous doubts as to whether we are really facing the construction of European structures following the principles of liberal democracy.

---

<sup>10</sup> Chociaż – nie wszystko: Valery Giscard d'Estaigne, który do niedawna uchodził za orędownika „chrześcijańskiej” europejskiego ustroju, zakwestionował ostatnio potrzebę wprowadzania „*invocatio Dei*” do europejskiej konstytucji, czym wzbudził wściekłą reakcję czynników kościelnych. Zob. Abp. Józef Życiński, *Polityka bez wartości?*, „Rzeczpospolita”, nr 26 (6406), 31 I 2003. O tym, że Europa nie wyrzekła się całkiem swego demokratycznego dziedzictwa świadczy pośrednio zawarte tamże stanowisko „Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej, poddające ostrej krytyce sprzeczne z fundamentalizmem religijnym europejskie projekty ustrojowe.